Rok 1898. Lwów, dnia 9. maja. Nr. 19.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

ADAM KRAJEWSKI.

AMOR VIXIT.

Nowela.

— Nareszcie jesteśmy sami! — wyrzekł półgłosem Albin, rzucając się na malutką kozetkę i pociągając ku niej swą młodziutką małżonkę, zapłonioną jak różyczka, dopiero co z pączka wystrzelona.

Drugiem, silniejszem pociągnięciem, posadził młodą kobietkę przy sobie i począł jej kłaść w uszko zaklęcia miłosne, wśród których różowiała czemraz więcej, skłaniała główkę czemraz niżej do jego piersi; pierś jej młodziutka falowała, jak powierzchnia stawu za podmuchem silniejszego wiatru, aż osunęła się całkiem na niego. Albin przycisnął ją do łona silnie, tak silnie, jakby się obawiał, aby mu kto tego drogiego skarbu nie odebrał, i tak oboje utonęli w upojeniu, w ciszy, której niebyło komu zamącić, byli bowiem sami, zupełnie sami, na swem nowem gospodarstwie, jako para świeżo pobranych małżonków.

Siedzieli tak długo, zapomniawszy o całym świecie, aż zmrok się uczynił na dworze, a jaskrawe, ciemnoróżowe promienie zachodzącego słońca, łamiąc się na drzewie, rosnącem w ogródku przed domem, cieniutkiemi pasmami przedarły się przez firaneczki koronkowe, padały na jasną główkę młodej kobiety, a taki sam promyczek padł i na jej oczki, w których Albin teraz dopiero spostrzegł łezki, płynące jedna za drugą po policzkach żony.

Ruchem wstecznym usunął się nieco i z pod światła spojrzał w oczy żony.

— Ty płaczesz Nina? — zapytał niespokojnie.

— Nie! — odparła szybko zawstydzona i ukryła twarz w dłoniach; ale daremny to był trud. Łezka wezbrana gdzieś pod sercem, parta uczuciem jakiemś, nie dała się cofnąć wstecz i jakby bardziej jeszcze wyciskana zapytaniem Albina, popłynęła ku oczom całą kaskadą, a łkanie wstrząsało silnie piersią kobiety.

— Na Boga! Nina! — co tobie? — zaklinał Albin, niespokojny do najwyższego stopnia o żonę — powiedz mi, co ci dolega?..

— Nic mi! — powtórzyła płonąc i przytuliła się do męża, a objąwszy go ramionami, dalej szlochała.

On całował jej oczy zapłakane, tulił do siebie i pieścił, aż łkanie ustawało powoli, łezki spadały coraz rzadziej i tylko głębokie westchnienie wydobyło się czasem. Po chwili uśmiechnęła się do męża, ale w tym uśmiechu czuć było jakiś smutek, jakiś niepokój, jak po przeminionem dopiero co niebezpieczeństwie.

I znowu długa chwila minęła młodym w milczeniu. Słońce zdjęło tymczasem różowe blaski z widnokręgu i szary zmrok zapanował na dworze. Albin wstał z kozetki i zapalił lampę na stoliku stojącą, a przy jej świetle Nina zawstydziła się poprzednich łez swoich i znowu twarz w dłoniach ukryła.

Albin usiadł znowu przy niej. Ujął jej rączkę w swe dłonie i wpatrując się w żonę, zapytał z uśmiechem:

— Powiedz mi Nino, przyznaj się, dlaczego płakałaś?

— Niewiem mój drogi...

— Jakto?... tak bez przyczyny?... hm...

— Sama niewiem, co mi było. Tak mi się jakoś strasznie zdało...

— Przedemną?!

— Ależ nie...

— Może mnie już nie kochasz? — wyszeptał Albin smutno i zwiesił głowę na piersi.

— O! — zawołała Nina! — kocham cię! kocham cię mocno! czy możesz o tem wątpić? — Ale coś mi się tak dziwno na sercu zrobiło, jakby mnie jakie wielkie nieszczęście miało spotkać; sama nie wiem...

— Dziecko jesteś, moja droga. — wielkie jeszcze dziecko...

Kobieta żachnęła się na te słowa, urażona.

W istocie, jeżeli Albin żonę swą dzieckiem nazwał, nieomylił się może, bo nie miała jeszcze skończonych lat siedemnastu, a właściwie dopiero szesnaście skończyła; ale i on sam równie na miano dziecka zasługiwał. Do trzydziestki, a więc do wieku, w którym człowiek zwykle ognisko domowe zakłada, brakowało mu jeszcze wiele, a na górnej wardze zaledwie lekki puszek znamionował dorastającego pełni lat młodzieńca.

Pobrali się, naturalnie z miłości, bo jakżeby inaczej być miało. Ta tylko mała między ich uczuciami zachodziła różnica, że gdy dla młodziutkiej kobiety Albin był pierwszym mężczyzną, do którego jej serduszko żywiej zabiło, mąż jej przeszedł był już pierwszą szkołę miłości.

Kwiat pierwszych swoich uczuć młodzieńczych poświęcił Albin czarnookiej i czarnowłosej pannie Malwinie, którą przed dwoma niespełna laty poznał na balu. Młodzieńcowi dwudziestotrzyletniemu, skłonnemu do marzeń, zaimponowała wy-

niosła, dumna, wiekiem prawie mu równa dziewica. Że był ładnym chłopcem, a Malwina lubiła się bawić wielbicielami, których rój zawsze ją otaczał, cóż dziwnego, że ładna panna zatrzymać raczyła na chwilę swe ogniste oczy na Albinie, nie troszcząc się o to, czy spojrzenie jej spłynie po jego duszy, jak woda po marmurowej tafli, czy wryje się tam głębiej i bliznę po sobie zostawi.

Stało się to drugie. Gdy mu Malwina dała rekuzę na gorące wyznanie miłości, był bliskim rozpaczy. Jak żebrak o jałmużnę, błagał o litość zimnej kobiety; nie pojmował w swej naiwności, że można się bawić sercem i uczuciami człowieka, jak zabawką dziecięcą. Gdy jednak z ust Malwiny usłyszał wyraźnie, że jest za młody, ażeby przyjąć mogła na serjo jego oświadczyny, obrażona duma wzięła w nim górę nad namiętnem uczuciem. Zdawało mu się, że urósł nagle na mężczyznę dojrzałego i postanowił pomścić się nad tą, co śmiała igrać z jego czystemi uczuciami.

Dziwny był plan jego zemsty. Nie poszedł śladem bohaterów romansowych. Nie pragnął pozbawić się życia, którego dopiero kosztować zaczynał; nie miał zamiaru zrywać z kobietami na zawsze i zostać starym kawalerem; wybrał właśnie coś wręcz przeciwnego. Oto postanowił bądź co bądź ożenić się, żeby pokazać niewiernej Malwinie, że nie jest bynajmniej za młody na męża i że oświadczyny jego można brać na serjo.

Gorącą swą miłość dla Malwiny ukrył Albin na dnie serca i rad był, że świat o niej nic nie wiedział, a sam rzucił się w wir towarzyskiego życia, szukając przedmiotu, którymby mogły się zająć zrażone jego uczucia. W tym czasie spotkał na drodze życia młodziutką, dopiero co z pensji wyszła Ninę. Zachwyciła go jej prostota, jej anielska niewinność, jej wdzięk rozkwitającego zaledwie kwiatka, tak różnego od Malwiny, jak niebo od piekła. Dla młodzieńca dwudziestoczteroletniego, nietrudna rzecz zająć sobą dziewczynę. Poznali się prędko, pokochali serdecznie i gorąco, i niebawem postać Malwiny pod wpływem uroku Niny, niekiedy tylko jak sen przewijała się w wyobraźni Albina. W parę miesięcy zapomniał niemal o tamtej, która mu tyle boleści sprawiła; był jej nawet w duchu wdzięczny za to, że mu swą odmową umożliwiła posiadanie tego anioła, przy którego boku popłynie mu życie jedną falą rozkoszy. Nad miarę był szczęśliwy, gdy bez namysłu przyjęła jego oświadczyny, mimo oporu rodziców, którzy nie radzi byli dziecko prawie wydawać za niedoświadczonego młodzieńca.

Był jednak partją nie do pogardzenia. Albin będąc jedynakiem bogatych rodziców, którzy mu niczego nie byli wstanie odmówić, przedstawiał dla niezamożnej panny wartość niepoślednią. Tem zdaniem kierując się rodzice Niny, przystali na związek. Ślub odbył się dziś właśnie i zastajemy młodziutką parę sam na sam, zdala od gwaru ulicznego, oddanych sobie jedynie.

Dlaczego jednak młoda kobieta płakała, co było powodem wylania tych kilka łez, cisnących się z pod serca, tego ona sama nie wie; niewie także i Albin, bo wszakże przez cały czas, od chwili gdy jej wyznał swą miłość, serce, rękę i majątek ofiarował, nie dał jej ani chwili przyczyny do powątpiewania w szczerość uczuć swoich. Tak był przekonanym, iż tylko ją kochał całą potęgą uczucia, że byłby wyzwał na śmierć lub życie każdego, ktoby śmiał temu zaprzeczyć.

A jednak teraz, gdy pocałunkami osuszał łezki, płynące po twarzyczce Niny, gdy całował oczy tego anioła, znowu niby cień, przesunęła mu się przed oczyma, dumna, królewska postać Malwiny, o której zdawało mu się, że dawno zapomniał, że dawno ją z serca swego wyrugował. Tak jest! — Dokonał zemsty i nic go ona więcej nie obchodzi. Niech przepada z jego pamięci, jak przepadła z serca jego.

I jakby przy boku młodej żony szukać chciał tego zapomnienia i zatrzeć na zawsze w sercu obraz tamtej; jakby szukał przy boku anioła obrony przed kuszącym go szatanem, przysunął się bliżej do Niny, a objąwszy ramionami dziecięcą jej kibić, przycisnął ją silnie do siebie, jakby się obawiał, aby mu kto obrony tej nie odebrał.

I przytuleni tak do siebie, zapomnieli wkrótce o całym świecie. Nina uspokoiła się zupełnie pod wpływem pieszczot małżonka, a Albin zapatrzony w nią i zasłuchany w jej szczebiot, nie pomyślał więcej o czarnookiej Malwinie, tej jakby czarodziejce z bajki, która śni się niekiedy małym dzieciom po wieczornych opowieściach piastunki.

Tak płynął młodym dzień za dniem, tydzień za tygodniem. Tak przeszła wonna wiosna, w której na ślubnym kobiercu stanęli; przeszło gorące lato, które spędzili na wsi, gdzie wieczorami, ręka w rękę, zapatrzeni w siebie, słuchali w ogrodzie tej harmonji tonów, grającej w przyrodzie melodję tajemniczą, niezbadaną, a która tak usposabia do marzeń i snów. Albo gdy późnym wieczorem wracali przez pachnące, kwieciste łąki lub świeżo skoszone sianożęcia, upajali się tą wonią i w milczeniu wpatrywali się w jasny blask księżyca, co niby srebrna kula płynął po niebios przestworzu — i było im tak błogo, tak bosko, że ani im obojgu na myśl nie przyszło, ażeby chłodna rzeczywistość mogła kiedy zmrozić te zachwyty, lub mgłą przesłonić marzenia.

Jesienią wrócili do miasta. W wzajemnem obejściu młodych nic się nie zmieniło; zdawało się nawet, że miłość, która ich połączyła, potęguje się z każdym dniem. Zbliżał się karnawał, w którym Albin miał wprowadzić Ninę w świat, i cieszyli się oboje z tego, jakie wrażenie wywrą, ukazując się oboje na balowej sali. Jakie oni sobie nie roili projekta? — Albin szczególniej, ten niedawno jeszcze nie brany na serjo młodzieniec — jak upokorzy tych, którzy go traktowali jak młokosa, śmiącego sięgać śmiałą dłonią tam, gdzie się tylu ubiegało i starszych i bogatszych od niego.

— Co powie Malwina? — pomyślał raz — Ale cóż go ta Malwina obchodzić może? A jednak gdy myślał o tem, jak ją upokorzy, tę dumną pannę, gdy go zobaczy u boku jaśniejącej całym urokiem młodziutkiej mężatki, Niny, cieszył się jak małe dziecko.

Nie zwierzał się przecież ze swych myśli przed Niną. Dlaczego? — Alboż on wiedział, dlaczego? — Nie miał przed nią żadnych tajemnic. Nie miał ich w istocie, a przynajmniej nic takiego, czego by się wstydzić potrzebował. A jednak, czuł to, że wyznaniem swej dziecięcej, jak rozumował, skłonności dawniej do Malwiny, zraził by to gorące uczucie, tę ufność bezwzględną, jaką żona miała dla niego; możeby go nie kochała tak, jak go kocha teraz. Prócz tego obrażona duma i wstyd, jakiego doznał przez odmowę Malwiny, kazały mu trzymać tę tajemnicę jedyną w głębi duszy i nie wydawać jej przed nikim, nawet przed ukochaną żoną.

Albin nie zastanawiał się głębiej nad sobą samym. Za młodym był na to i za mało doświadczonym. Gdyby był trochę filozofem, byłby poznał, że tylko obojętność jest czemś bezbarwnem, bezistotowem; zarówno natomiast gniew lub nienawiść są rodzajem uczuć, tak samo jak miłość. Czyż on zobojętniał zupełnie dla Malwiny? — Gdyby tak było, gdyby był dla niej zobojętniał, byłby o niej nigdy nie myślał, byłby nie czuł do niej żadnej urazy, żadnego gniewu, ani nienawiści. Prawda, bywały chwile, że nienawidził ją z całej duszy; bywały momenta, że gniewał się na nią, iż mu uporczywie na myśl przychodziła, wówczas właśnie, gdy się czuł najszczęśliwszym przy boku Niny. Ale to samo właśnie, że starał

się usilnie zupełnie o niej zapomnieć, świadczyło, iż całkiem dlań obojętną nie była.

Gryzło go to i nieraz spokój odbierało; ale był pewnym, że gdy dokona swej zemsty, gdy pokaże jej, że mógł się bez niej obejść na całe życie, o! — wtedy będzie zupełnie spokojnym, wtenczas odzyska równowagę i wyrzuci ją raz na zawsze ze swej pamięci.

Temi uczuciami i tą myślą przejęty, wybierał się Albin z Niną na świetny bal, który w salonach kasyna stolicy miał zgromadzić cały wielki świat. Niewątpliwie będzie tam i ta dumna Malwina, jak zwykle, otoczona rojem wielbicieli. I on tam będzie z żoną, pokaże się jej w całym blasku szczęścia swego i upokorzy tę dumną kobietę, dla której był „za młody".

Ciąg dalszy nastąpi.

NOWA TEORJA SZEKSPIROWSKA.

(Notatka literacka).

Znaną jest babska teorja, że nie Szekspir napisał swoje utwory, lecz Bacon. Mówię „babska" nie dlatego, że wynalezienie jej należy do kobiety, lecz dlatego, że cała ta teorja należy do tego rodzaju literatury, który się nazywa... plotką. Wyobrażono sobie, że Szekspir nie mógł napisać takich dramatów, które w rzeczy samej są genialne, i dlatego musiał je napisać Bacon, człowiek bardzo rozumny, ale pozbawiony wszelkiego talentu artystycznego. Dzięki „babskiej" teorji, teraz zaczynają się nim zajmować, a w tem wszystkiem, co wyciągają z jego utworów, nie ma nic poetycznego, niczego takiego, coby dowodziło, że był zdolnym do formy dramatycznej.

Niemcy bardzo usilnie zajmują się wyszukiwaniem frazesów z Bacona i porównywaniem ich z frazesami Szekspira. Znajdzie taki szwab dziesięć podobnych do siebie frazesów, pisze zaraz cały tom, starając się wykazać w nim swój rozum, którego nigdy nie posiadał. Rzecz polega zupełnie nie na frazesie, nie w podobieństwie jednego frazesu do drugiego, lecz w tej poezji, jaka jest w Szekspirze, w tych postaciach i charakterach, w które tak obfitują dramaty Szekspira, w tej budowie dramatu, która ujawnia genjalnego dramatycznego architekta. Dlaczego Sofoklesowi i Eurypidesowi nie odbiera nikt honoru autorstwa ich wielkich utworów, chociaż oni może mniej umieli od Szekspira, mniej czytali i mniej się uczyli? Czyż mało było uczonych i bardzo rozumych ludzi, którzy niczego nie napisali, prócz uczonych książek, podczas gdy ich współcześni, którzy wcale nie byli takimi uczonymi, napisali prześliczne utwory poetyczne? Dlaczego Platon, który stoi nierównie wyżej od Bacona pod względem genjuszu, nie napisał ani jednego dramatu, ani jednej tragedji, a Bacon musiał napisać? A przecież Platon władał formą djalogu w wysokim stopniu, czego zupełnie nie można powiedzieć o Baconie.

W angielskiem piśmie *„Literature"* pojawił się artykuł z nową teorją szekspirowską. Autor pisze, że już dawno szuka prawidłowego rozstrzygnięcia kwestji o Szekspirze-Baconie, i zdaje mu się, że je znalazł. Baconiści twierdzą, że ten sam człowiek, który napisał utwory Bacona, napisał i utwory Szekspira. Szekspirowcy twierdzą, że Szekspir a nikt inny napisał utwory Szekspira. Gdzież prawda? A oto ona: nie Bacon napisał utwory Szekspira, lecz Szekspir utwory Bacona.

„Zauważmy — ciągnie autor dalej — że Bacon nie miał najmniejszej przyczyny ukrywania, że on pisał utwory Szekspira podczas gdy Szekspir miał właśnie wszystkie przyczyny do ukrywania, iż on właśnie pisał utwory Bacona. Wiemy, że Bacon był jednocześnie i „najrozumniejszym człowiekiem i najpodlejszym". Miał dosyć rozumu, aby uznawać genjusz Szekspira i dosyć podłości, aby przyswajać sobie to, co w następstwie uznawał za swoje. Płacił Szekspirowi za to, co dla niego pisał, i za to, że o tem milczał. Oto, dlaczego Bacon znajdował się zawsze w kłopotach pieniężnych. Aby płacić Szekspirowi za milczenie, brał łapówki i sprzedawał swoje sumienie. Oto przyczyna tego haniebnego postępowania Bacona, którego dotychczas nikt sobie objaśnić nie umie. Zauważmy, że upadek talentu Bacona rozpoczyna się z chwilą śmierci Szekspira, albo też raczej, od chwili, gdy zaczął korzystać z tego wszystkiego, co mu pozostawił Szekspir. I Szekspir to przewidział i przesądził w narysowaniu charakteru Marka Antonjusza, który pragnął oprzeć swą władzę na przymiotach Juljusza Cezara.

Szekspir, jak wiadomo, złożył sobie majątek, a mówią nam, że zrobił go na teatrze „Globus". Ale dlaczego nikt z jego towarzyszów, poprzedników i następców nie zbogacił się na tym teatrze, jak on? Nie. Szekspir mógł się udać do Stratfordu-on-Avon tylko dzięki pieniądzom Bacona. Następnie bardzo dobrze znamy we wszystkich szczegółach podział czasu Bacona: jego życie było tak ruchliwe, był tak czynnym, że nawet baconiści nie mogą powiedzieć, w jakim czasie mógł on napisać utwory Szekspira. Nie miał nawet czasu na pisanie swych własnych utworów. Tymczasem, z drugiej strony, niewiadomo zupełnie, na co Szekspir spotrzebował ogromną ilość czasu, i to w takich rozmiarach, że krytycy uciekają się do najdziwaczniejszych przypuszczeń, aby zapełnić te luki. A ja wam powiadam, że w tym czasie Szekspir pisał utwory Bacona. I oto dlaczego nie miał czasu na poprawianie swych własnych utworów i sztuk. Dodam, że nie ma tekstu baconistów na korzyść ich twierdzenia, nie licząc tego wszystkiego, co sprzeciwia się ich twierdzeniu, a potwierdza moje. Jeszcze jedno słowo. Co to za tysiące wierszy, o których mówi Ben-Johnson, że należałoby je wykreślić z utworów Szekspira? Czy to wiersze z dramatów Szekspira? Ależ to byłoby głupie! Ben-Johnson oczywiście znał tajemnicę i ubolewał nad tem, że Szekspir napisał utwory Bacona"...

Nie wypisuję dalej. Mojem zdaniem, jestto daleko dowcipniejsze od tej babskiej teorji, którą się tak wielu zajmuje. A jedno przypuszczenie jest wprost doskonałem, mojem zdaniem, a mianowicie to, że „Bacon był zarazem rozumnym i podłym". Człowiek, który bierze łapówki i handluje swojem sumieniem, nie mógł napisać takich utworów, jaki napisał Szekspir. Poeci, jeżeli czemś grzeszą, to z pewnością nie braniem łapówek i handlem sumieniem.

Jan Komar.

PERCY BYSSHE SHELLEY.

ARETHUZA.

I.

Arethuza hoża
Wstaje z śniegów łoża
W akroceraunskich górach, —
Przez szczelin tysiące
Wiedzie źródła lśniące
Na szczytach zrodzone w chmurach.

Skacze przez opoki,
Pomiędzy potoki
Tęczowe rozwiewa sploty...
Gdzie stąpi — zielonią
Wąwozy się mienią
Ku zachodu zorzy złotej.

Tak w gwarów powodzi,
Śpiewając, uchodzi...
Szemranie płynie wkrąg senne...
Ziemia promienieje
I niebo się śmieje,
Gdy w głębie śpieszy bezdenne.

II.

Wtem Alfeusz śmiały
Tnie trójzębem w skały,
Na lodowca stając zrębie —
I nikną opoki
W przepaści głębokiej
I Erymanthu drżą głębie.

Południowy, chmurny
Wicher, po za urny
Milczących ukryty śniegów,
Dreszcz ziemi i gromy
Kruszą granit w łomy,
Wypierają źródła z brzegów.

Przez potoku wodę
Widać włos i brodę
Alfeusza boga rzeki,
Gdy za nimfy pędzi
Śladem ku krawędzi
Wód doryckich niedalekiej.

III.

„O ratuj mnie! Prowadź!
Każ mnie falom schować!
Już mnie za włosy bóg chwyta!“
I Ocean tknięty
Wzrusza wód odmęty —
Wznosi się toń nieprzebyta.

Biała córa Ziemi
Pod wody modremi
Mknie, jak promień słońca, rączo;
Fale jej ślad gonią,
Lecz z słonawą tonią
Wód doryckich się nie łączą.

Alfeusz zuchwale
Za nią mknie przez fale...
Szmaragdowa ćmi się głębia —
Mknie, jak orzeł, który
Przez brzemienny w chmury
Wicher, ugania gołębia.

IV.

Przez głąb, gdzie na tronie,
Co od pereł płonie,
Zasiada władca bezdeni...
Przez lasy korali,
Rwane nurtem fali...
Przez stosy drogich kamieni...

Przez mrok, kędy blada
Jasności kaskada
Sieć barwnego światła niesie...
Mrocznych pieczar głębią,
Gdzie się wody kłębią
Tak zielona, jak noc w lesie...

Pod pianą topieli
Prędzej przepłynęli,
Niźli rekin, mieczyk zwinny...
Przez nurt morza siny...
Przez skał rozpadliny
Na Dorydy brzeg rodzinnej.

V.

Teraz śród polanek,
Gdzie lśni w słońcu ranek,
Z źródeł swoich mkną, z gór Euny,
Jak ku sobie lgnące
Duchy po rozłące...
W pracy toczą się codziennej.

Z swej kołyski stromej
O świcie przez złomy
Skaczą zboczem w gór jaskinie...
A w południe drzewa
Nurt ich fali zlewa,
Przez łąk asfadele płynie...

A zaś do noclegu
Na Ortygji brzegu
W toń falistą mórz się kryją,
Jak duchy, co leże
Mają w niebios sferze,
Gdy kochają, lecz nie żyją.

Przełożył
WŁADYSŁAW NAWROCKI.

NIECO O MŁODEJ LITERATURZE NIEMIECKIEJ.

Szkic literacki.

Od lat pięćdziesięciu zmieniła się ogólna charakterystyka literatury niemieckiej bardzo, a zwłaszcza, w odniesieniu do nas, Polaków.

Całe nowsze piśmiennictwo jest — o ile mowa o Polakach — zatrute nienawiścią. Nienawiścią — powtarzam i podkreślam to słowo, bo ostatecznie możemy z tego być dumni. Nienawidzą — więc żyjemy i jesteśmy siłą. Innych — lekceważy się i bagatelizuje.

Nam nienawiścią wyrażają szacunek wszyscy młodsi pisarze, „moderniści": Sudermann, Halbe, Bahr i ich organ tygodniowy: „Jugend" monachijska. Ze stanowiska artystycznego jest to wprost przyjemnem. Szczyt atoli nienawiści, dochodzącej do zaślepienia, do obłędu, osiągnął jakiś sobie Ernst Below w powieści: „Ostmark und Krumstab" (Berlin, Otto Janke). Niemcy doszli już szczęśliwie do tego, że dają się straszyć, jak dzieci żydem; Polak staje się demonem.

Treść tej książki powtórzyć się nie da, taka jest niezdarna i bezsensowna. Autor, który się mieni być poznańczykiem, wraca do miasta rodzinnego po kilkudziesięciu latach niebytności, i rozpacz zalewa jego patrjotyczne, niemieckie serce. Cóż bowiem dostrzega? „Wszędzie gospodarka polska i panowanie centrum. Gdzie okiem rzucę, w miejscu wymarzonej niemieckości — polskość. Wszędzie polskie szyldy, polskie nazwy ulic (niedawno dopiero usunięte!); kto dawniej się nazywał Müller, lub Schultze, nazywa się teraz Müllerski lub Schulzski (!)". Boleść dyktuje mu wtedy dzieło, nawpół pamiętnik, nawpół powieść. Czego tam nie znajdujemy! Bohaterem dodatnim opowiadania jest „Stryj Wlad", jakiś pan Władysław, piękny, dzielny i zadzierzysty, prawdziwy typowy szlachcic polski, bo pochodzący w prostej linji od... kozaków zaporozkich. Nosił on zimą i latem wysoką kozacką czapkę futrzaną i „kacawejkę"... Szczególnie ta „kacawejka" autorowi spokoju nie daje, ciągle o niej marzy i sam się także w nią stroi. Stryj Wlad marzy o wolnem, romantycznem „starostwie" polskiem, lecz na przeszkodzie stoją mu „starostowie (?) i szlachcice", oczywiście pod komendą kleru, który nici wszystkich spraw kraju topi w Rzymie. Następuje szereg walk, intryg, okropności. Na widowni zjawia się arcybiskup Przyłuski, ks. Koźmian, rok 1848... 1863... „święty legjon". Najposłuszniejszem narzędziem w rękach kleru są damy polskie, które ofiarowują „wszystko". Stryjowi Wladowi, który ma za żonę cudownie piękną hrabiankę, nie podoba się to, więc ją wypędza, wychowuje sobie w Warszawie dziewczę wiejskie o obliczu madonny, i przykładając jakiemuś klerykowi pistolet do piersi, każe sobie z nią ślub dać. Koniec atoli tych dziejów bardzo jest żałosny. Dzięki wrogom polsko-katolickim, jedyna córka owej madonny, Marja, umiera, a stryj sobie odbiera życie. Wypędzona eks-hrabianka dostawszy się w sidła księdza — zostaje matką, zostaje — okradzioną, zostaje nareszcie morfinistką, nałogową pijaczką i kończy w obłąkaniu na bruku. Nie można poprostu streścić wszystkich okropności, które autor kładzie na karb „wychowania polskiego" i intryg „polsko-katolickich". Wprawdzie, dodaje, obdukcja sądowa nie wykazała, jakoby owa córka madonny, Marja, została otrutą — on, autor, w to jednak wierzy; wprawdzie rozprawa sądowa nie wykazała, jakoby owa waratka z ulicy była istotnie pierwszą żoną Wlada, ofiarą tylu intryg i t. d. — on, autor, święcie jednak w to wierzy. Charakterystycznem jest owe ignorowanie orzeczeń sądownictwa bodaj pruskiego, gdy autorowi chodzi o bajkę, o tendencję, o fałszowanie opinji. W ten sposób tworzy się legendy i brednie ludowe, które niczem zachwiać i usunąć się nie dadzą. Co tam sądownictwo i prawo bodaj niemieckie, idea pruska jest wyższą. Pokazuje nam też autor oficerów i urzędników pruskich, którzy poza służbą bezprawnie prześladują ludność, brutalnie, po barbarzyńsku — zupełnie jak ongi Carnap, albo jak „cywilizatorzy" w Afryce. Tych oczywiście idealizuje, bo więcej nienawidzi polaków i obcych, niż kocha tę kulturę, którą jest bodaj własne jego pruskie prawo. I z tem prawem precz — przed „ideą" eksploatacyjno-prusacką...

Książka cała napisana — jak nadmieniłem — w najwyższym stopniu niezdarnie, mimo to, była drukowaną w wielkim dzienniku, a wyszła w wydawnictwie książkowem powieści, bardzo rozpowszechnionem, które drukuje arcydzieła Jokaja, Tołstoja, Sienkiewicza, Dostojewskiego i t. d. Niewątpliwie znajdzie wielu czytelników...

A to tem bardziej, że porządnej lektury literatura niemiecka w tym kierunku wcale jakoś nie dostarcza. Jarmark przed Bożem Narodzeniem przyniósł całe fury nowości wszystkich starszych autorów, znoszących jajka mądrości dla drzewka, jak fabrykanci kraszanek i cukrów; i u młodych warsztaty nie próżnują; ruch to jednak jałowy i, prócz trylogji Przybyszewskiego *„Homo sapiens"*, żadna w Niemczech nie wyszła książka beletrystyczna, która mogłaby cudzoziemca zainteresować.

Na scenach niemieckich zrobiły w sezonie zimowym większe wrażenie tylko trzy sztuki: Sudermanna „Johannes", Teodora Herzla „Das neue Ghetto" i Langmanna „Bartel Turaser". Rzeczywiste powodzenie sceniczne miało tylko dzieło ostatnie. Warto wszystkim przypatrzyć się zblizka, gdyż charakteryzują doskonale trzy prądy w dramaturgji: poetycki (Sudermann), tendencyjny (Herzl) i naturalistyczno-społeczny.

Sudermann był zawsze mistrzem w wyzyskiwaniu nastrojów publiczności i efektów scenicznych. Wstąpił na widownię w chwili znużenia z lekką komedją francuską i zaczął razić oczy publiczności jaskrawością barw, które miały być naturalizmem, psychologją, ideą, a w gruncie rzeczy były tylko bardziej wyrafinowaną grą na nerwach i na powierzchownych przesłankach tez rozmaitych. To też, gdy dzieła głębokiego Hauptmanna weszły do skarbca literatury i znajdują coraz większe uznanie, nad Sudermannem przechodzi się powoli do porządku dziennego, a ostatnie jego prace: „Walka motyli" i „Morituri", operujące wytartemi już efektami, odrażały płytkością i rzemieślniczą robotą. Dążność do wcielania w życie sceniczne wyższych tęsknot i poetyczniejszych kształtów, dążność, której tak wspaniały wyraz w swoim „Dzwonie zatopionym" dał Hauptmann, nie dała spać i „Sardou'owi niemieckiemu" — stąd powstał też „Johannes".

Sudermann zrozumiał Jana wiernie, nie umiał go jednak odtworzyć scenicznie, jeżeli wogóle taką postać na scenie odtworzyć można. Jan Chrzciciel czuje się zwiastunem Tego, który dopiero ma przyjść, i życie upływa mu na wyczekiwaniu, tęsknocie, śnie bolesnym, apostolstwie, oczyszczaniu

serc — bez skoncentrowanej, celowej działalnośai, bez głównego więc warunku scenicznego życia.

Pierwsza odsłona przenosi nas w skalistą, dziką okolicę Jerozolimy. Tłumy ludu zbierają się nocną porą około Jana, który uzdrawia chorych, pociesza strapionych, chrzci ich wodą. A gdy lud pada przed nim na kolana, on go gromi: „Co ja wam mogę dać, ja, żebrak? Woda, którą was chrzczę, jest wodą pokuty. Ten jednak, co po mnie przyjdzie, Ten was będzie chrzcił duchem i ogniem. A ja nie jestem godzien schylić się, by Mu rzemyki u sandałów odwiązać. Tak małym jestem wobec Niego“. Głosy: „Rabbi, mów, kiedy przyjdzie Ów, o którym opowiadasz?“ Inni: „Kto On zacz, rabbi? Miej litość! Pokrzep nasze dusze. Opowiadaj nam o nim!“ I tłumy siadają wśród skał nagich o nocy księżycowej, a głos Chrzciciela rozlega się pełen tęsknoty. Opowiada, jako Go chrzcił i ujrzał nad Nin ducha Bożego w postaci gołębicy białej i głos usłyszał niebiański. Padł wówczas na twarz... „On“ znikł... Ale przyjdzie, jasny Król zastępów, — a przed Nim cheruby — na opancerzonych rumakach, z mieczami płonącemi, by kosić i tępić wszystko, co jest grzechem...

Tak wyobraża sobie Zbawiciela on, asceta, pustelnik, pełen żaru i gniewu, zemst i groźb przeciw ziemskiemu robactwu grzechu i rozpusty. I idzie do Jerozolimy, by rzucić kapłańskie słowo Herodowi, który właśnie pojąwszy cudzołożnie żonę własnego brata, jutro w dzień Paschy, ma wprowadzić ją do świątyni... (Dokończenie nastąpi).

P. K.

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

W pani ministrowej burzyło się wszystko, to też po krótkiej chwili milczenia zwróciła się znowu do córki:

— Robisz się wprost śmieszną, Hildo, z tym Delphinem, a co gorsza, ośmieszasz i jego!

— Ależ, Adelajdo! — odezwał się minister ostrożnie.

— Sam przecież pojmujesz, Danielu, że dla tak eleganckiego człowieka jak Delphin, towarzystwo panny tak niedystyngowanej jak Hilda, jest ośmieszającem. To przecież jasne jak słońce!

Hilda powstała nagle i pobiegła do swego pokoiku na górę. Zamknęła się i wetknąwszy głowę w poduszki, zaczęła gorzko płakać.

Pani Bennechen płakała także — w jadalni.

— Temu wszystkiemu jesteś tylko ty winien, Danielu! Gdybyś się nie był pogniewał z Falck-Olsenem, byłoby wszystko dobrze, ale teraz...

— Tylko spokojnie, Adelajdo! Pogodzenie się jest bliskiem.

— Nie wyjeżdżaj tylko ze swojem: „spokojnie Adelajdo!“ — żaliła się, zdejmując pokrywę z salaterki; była na niej potrawka cielęca.

W tej chwili usłyszano kroki na małej werandzie; zaledwie miała czas przykryć salaterkę, gdy Falck-Olsen stanął we drzwiach.

— Ah! Doskonale trafiłem! — zawołał rozpromieniony — państwo jeszcze nie skończyli obiadu. Przychodzę specjalnie z polecenia mojej żony, aby panią zaprosić; musisz pani przyjść koniecznie, aby skosztować tych młodych kurcząt, z których jest tak dumną. A pan, panie ministrze musisz mi dotrzymać towarzystwa przy butelce białego portwejnu... Wszak prawda — dodał, wyciągając rękę — obydwom nam należy się dzisiaj coś *extra*?..

Minister ujął jego rękę i uścisnął ją serdecznie; jego żona jednak siedziała, jakby z nieba spadła, aż nareszcie mąż szepnął jej do ucha:

— Czyż nie mówiłem, że zgoda jest bliską?

Patrzyła na niego z jakimś nabożnym niemal szacunkiem, dała się potem uprowadzić Falck-Olsenowi, podczas gdy minister wołał na Hildę, aby przyszła do willi jak tylko będzie mogła najprędzej.

Powrót dobrych stosunków między obiema rodzinami uczczono szeregiem uroczystości. Nie były to już tak „wielkie odkarmianie“, jak dawniej, według wyrażenia Delphina, lecz małe bankieciki pańskie, przy których siedziano długo u stołu i wiele rozprawiano.

Delphin domyślił się wkrótce, o co rzecz chodzi, i bawił się na swój sposób. Redaktora Mortensena, który był już stałym gościem, prześladował najwyszukańszemi grzecznostkami, tak, że ten zupełnie zbił się z tropu; albo też zaprawiał goryczą życie pani Olsen, zapewniając ją, że ten lub ów z nowych gości był nihilistą i chodził z rewolwerem w kieszeni.

Falck-Olsen sam zaczął postępować inaczej — był surowy i wyniosły. Nie rozpoczynał nic, nie naradziwszy się przedtem z ministrem, a w domu u niego nie widziano nigdy gościa, któregoby zaprosił bez pozwolenia lub rozkazu.

„Wielki bal w salonie Olsenów“, który się odbywał corocznie w jesieni, stał się w tym roku tylko „herbatką

tańcującą", a Falck-Olsen dał córce wskazówkę, aby się dobrze obchodziła z referendarzem Hierthem.

Zofja gniewała się o to, szczególnie, iż ojciec nie powiedział jej nic dokładniejszego. Wogóle nie była zadowolona; szambelan się nie zbliżał, a wybór między Bennechenem a Hierthem był dla niej nędznym tryumfem.

Obydwaj przyjaciele zresztą spędzili forsowne lato; oprócz służby biurowej mieli jeszcze obowiązek zabawiania szwagra Hiertha, Germana; spełniali ten obowiązek tak gruntownie, że nie pozostało mu czasu na załatwianie spraw sercowych.

Gdy rozpoczął się sezon zimowy, sprawy te miały być rozpoczęte na nowo. Planem Alfreda było wytężyć wszystkie siły, aby pozyskać młodą kobietę w mieszkaniu portjera. Pani Bennechen jednak wzięła Alfreda na spytki i powiedziała mu coś w sypialni, czego skutkiem było, że dał Krystynie pokój.

Zresztą była to szczególna rzecz, jak ta kobieta niknęła niemal w oczach.

Błyszczące czerwone włosy stały się suche, przez całą zimę była chora i cierpiała często na ból gardła i łamanie w kościach.

Mąż jej włóczył się po biurach jeszcze więcej uśmiechnięty i jeszcze ciszej niż dawniej. Nabrała do niego jakiegoś wstrętu od dnia ślubu; życie płynęło jej cicho i monotonnie, a on obchodził się z nią dobrze.

Z naczelnikiem pilotów Seehusem stał Mo w ciągłej korespondencji i od czasu do czasu otrzymywał listy pieniężne z Zachodu. Pewnego dnia jednak, około Bożego Narodzenia, otrzymał następujący list:

„Panie woźny ministerjalny Mo!

Teraz już dalej nie idzie, ponieważ on już nie ma nic więcej tylko same długi; dlatego piszę w swojem własnem imieniu, a Njaedel o tem nic nie wie, gdyż nie mogę uwierzyć, aby tam z temi pieniądzmi nie działo się jakieś paskudztwo, które teraz już wynosi 950 koron. Jeżeli to są ludzie królewscy, którzy pożerają te pieniądze, to nie jesteśmy lepsi od Moskali w Moskwie i Petersburgu i napiszę to do gazet, bo ten człowiek zeszedł na żebraka, na psy i zachorował także do szpiku kości wskutek zmartwienia o tę łozinę, a rów teraz prawie całkiem zawiany i wygląda haniebnie, z której to przyczyny, do was, do jego brata piszę, abyście przecież z litości postarali się doprowadzić tę rzecz do końca, która już przed dwoma laty wysłana jest do króla bez odpowiedzi, tylko z kosztami. Również bardzo się teraz martwi po jednym liście od swej córki Krystyny, która jest teraz waszą gospodynią i żoną i dziwi się, że teraz nie ma nic do pisania, a wy przecież pisywaliści bardzo często, że tylko dąży do tego, aby stać się waszą żoną, ale się wstydzi z powodu wieku, dlaczego też tak napisaliśmy, jak byliśmy przez was proszeni z przekonywaniami i jeszcze z czemś tam; ale teraz ja już niczemu nie wierzę. Z wysokim szacunkiem ***Laurenty Boldemann Seehus***".

Anders przeczytał ten list w małym przedpokoju, jaki zajmował przed biurem ministra. Złożył list i wsadził go do pieca, wstrząsając głową i uśmiechając się pod nosem.

Minister otworzył drzwi.

— Czy pan nie słyszysz, Mo? Już dwa razy dzwoniłem!

Anders Mo powstał i spojrzał na ministra z tym samym nic nie mówiącym uśmiechem.

— Ależ Mo! — zawołał minister — zdaje mi się, że się naprawdę zaczynasz starzeć!

XIV.

Doktór Jan Bennechen bawił przez cały rok w Wiedniu. Jedyną osobą w domu, z którą korespondował, była Hilda. Przez nią dowiedział się także w lecie, że Krystyna wyszła za mąż za swego stryja. Od tej chwili przestał pisywać do domu i przez długi czas miał silne postanowienie pozostać w Wiedniu, lub też udać się do Ameryki.

Gdy jednakowoż całą zimę nosił się z swem cierpieniem, przyszła na niego taka tęsknota, iż pragnął zobaczyć raz jeszcze Krystynę i otrzymać wyjaśnienie. W połowie marca wyruszył też z powrotem do domu.

Walczył z różnemi myślami i wątpliwościami, gdy się zbliżał do ojczyzny. Alfred zatem nie był tym, którego kochała; ale poco na Boga wyszła za tego starca?

Hilda, pomimo iż nie odpowiadał więcej na jej listy, pisywała do niego ciągle; w ten sposób dowiedział się też, że Krystyna w zimie zachorowała. Gdy wszedł w bramę domu ojcowskiego, nie patrzył na dół przez okna suteren, lecz udał się natychmiast na górę, aby się przywitać ze swoimi.

Pani Bennechen, zobaczywszy go, wydała okrzyk; jego powrót był mianowicie o tyle niespodzianką, że mówiono tylko pobieżnie o tem, iż może na wiosnę powróci.

— Wybacz mi mamo, powinienem był zatelegrafować — rzekł Jan.

Pani Bennechen patrzyła na niego ciągle jeszcze zdumiona; gdy jednak podszedł do niej z swym poczciwym tęsknym wyrazem twarzy szepnęła, całując go:

— Ależ się zmieniłeś, Janie! Nie byłabym cię poznała od razu!

Teraz weszła Hilda i rzuciła mu się na szyję.

— Jak się masz, jak się masz, drogi, kochany Janie! Nie! Ależ się zmieniłeś!

— Czy i ty to mówisz? — zapytał Jan.

— Jesteś o dziesięć lat starszy; ot już siwe włosy masz w brodzie i naprawdę, zaczynasz łysieć, Janie!

Brat uśmiechnął się swym zwykłym, smętnym uśmiechem; Hilda jednak śledziła go pilnie; wydawało się jej dziwnem, iż nigdy przedtem nie zauważyła tego, że Jan tak bardzo kulał.

Gdy minister powrócił do domu, miał rozmowę ze swoją żoną w sypialni, a przy stole oboje byli tak uprzejmi dla Jana, że temu zrobiło się ciepło koło serca; nawet Alfred był bardzo ugrzeczniony. Miał zamiar popołudniu rozmówić się z Hildą; matka jednak natychmiast po obiedzie wysłała ją po jakieś sprawunki.

O zmroku zsunął się po schodach na dół; gdy jednak doszedł do tych kilku stopni, które prowadziły do mieszkania Krystyny, powstały w nim dawne wątpliwości, tylko boleśniejsze jak dawniej.

Wreszcie zebrał się na odwagę i zapukał. Otworzyła mu stara służąca, której nie znał. Był to pokój, w którym w myślach wyobrażał sobie niezliczone sceny i spotkania, podczas gdy był daleko od ojczyzny, najpierw pełen nadziei, a potem, gdy Krystyna wyszła za mąż, pełen smutku. A jedak ciągle miał to uczucie, że ona winną mu jest wytłómaczenie.

Znany zapach w pokoju zbudził wszystkie jego wspomnienia, to też zapytał wreszcie:

— Czy jest w domu?

Służąca spojrzała na niego.

— Pani jest tam.

Tknęło go coś, gdy powiedziała „pani". Drzwi do dawnego pokoju Krystyny stały otworem. W żadnym z pokojów nie paliło się światło; światło gazowe rzucało jednak z ulicy wielkie, żółte kwadraty na podłogę, tak, że doktor mógł widzieć, iż ktoś leży w łóżku.

Przystąpił bliżej i rzekł:

— Dobry wieczór, Krystyno.

Chora podniosła się na łóżku i spojrzała na niego. Jan zatrzymał się we drzwiach; czy to była Krystyna? Wydała okrzyk i poruszyła się, a następnie wyciągnęła ramiona, jakby go chciała trzymać zdaleka od siebie. Służąca zamknęła drzwi i rzekła gniewnie:

— Sądziłam, że pani pana zna.

— Co jej jest?

— O tem nie wiem nic — odparła i otworzyła drzwi prowadzące do sieni.

Doktor Bennechen wszedł tych parę schodów na górę. Widział ją; widział jej twarz dość dokładnie, aby jej niezapomnieć nawet po stu latach. Owładnęła nim jakaś nieokreślona obawa. Zapiął szybko paltot i pobiegł czemprędzej do doktora Rohde.

Zastał starego lekarza domowego, czytającego w fotelu gazetę.

— Oh, oh, profesor z powrotem! Jak się masz, mój chłopcze? Jakże ci się powodzi?

Doktór Rohde mówił jeszcze wszystkim dzieciom ministra „ty", wszystko to dorastało przecież w jego oczach.

Jan nie odpowiedział na to uprzejme powitanie, lecz zapytał krótko:

— Co jest Krystynie?

— Co? Krystynie? — zapytał Rohde i zdjął okulary — ah, tej w izdebce portjera? Widziałeś ją?

— Tak.

— No, to musisz wiedzieć, co jej brakuje — rzekł stary lekarz poważnie — jestto jeden z najsmutniejszych wypadków, jaki miałem. Zdaje się, że właśnie jej zdrowa krew i doskonałe ciało były więcej niż zwykle dostępne dla jadu.

— Ale — kto? Kto je zatruł?

Jan Bennechen zbladł jak trup, a pot kroplami lał mu się z czoła.

— Ależ drogi chłopcze, jak ty to sobie bierzesz do serca! — rzekł Rohde, który zaczął powoli pojmować wszystko — naturalnie, jej mąż. Leżał dwa razy na głównym oddziale; nie wiedziałeś o tem? Mam go tu zapisanego w księdze chorych, stara świnia, widzisz!.. — I doktor zaczął na stole przewracać karty grubej książki.

— I pan o tem wiedziałeś i nie mówiłeś nic?.. Wstyd, panie doktorze Rohde, to było po łajdacku z pańskiej strony!

Jan stał z zaciśniętemi pięściami.

Ciąg dalszy nastąpi.

Wiadomości artystyczne i literackie.

Pamiętnik Tow. literackiego im. Adama Mickiewicza za rok 1898 wyszedł już z druku w podwójnej objętości, jako rocznik jubileuszowy.

Prezesem związku prasy perjodycznej paryskiej wybrany został Ed. Rostand, autor „Cyrana de Bergerac". Kandydatura Zoli upadła.

„Istoricz. Wiestnik" podaje w ostatnim zeszycie recenzję »Szkiców i poszukiwań historycznych" K. Pułaskiego. Krytyka wypadła bardzo przychylnie.

Prof. Goll w Pilznie wygłosił w tamtejszej resursie mieszczańskiej odczyt o „Konradzie Wallenrodzie".

Miesięcznik łotyski, wychodzący w Rydze, zamieszcza obszerny i dobrze napisany życiorys Adama Mickiewicza, ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin naszego wieszcza.

W berneńskiem czasopiśmie „Hlidka" znajdujemy wzmianki o „Macierzy Polskiej", jubileuszu A. Pługa i nekrolog A. Cinciały.

W „Literarnich listach" zamieszcza p. K. Krive obszerniejszą krytykę studjów P. Chmielowskiego: „Nowa literatura dramatyczna".

Słoweński: „Dom in svet" w Lublanie informuje swych czytelników o jubileuszowej edycji trylogji Sienkiewiczowskiej i pism B. Prusa oraz o wydawnictwach naszej „Macierzy" (Encyklopedja ludowa).

Jan Strauss ogłosił konkurs w kwocie 400 koron na najlepszy tekst do baletu, który ma zostać wystawiony w operze wiedeńskiej.

Nowa opera twórcy „Mikada" H. Sulivana: „Męczennik z Antjochji" wystawiona w Edynburgu doznała dużego sukcesu.

P. Rotmül, warszawianin, tenor opery Sztuttgardskiej otrzymał od króla würtemberskiego tytuł nadwornego śpiewaka.

Gościnne występy p. Marceliny Sembrich-Kochańskiej na scenie teatru „Karola" w Wiedniu cieszą wprost fenomenalnem powodzeniem. Znany krytyk Hanslik wyczerpuje cały słownik superlatywów dla oddania wyrażenia swego uznania znakomitej śpiewaczce i złożenia hołdu jej wielkiemu talentowi.

G. Verdi wykończył trzy nowe kompozycje: „Stabat Mater" (na chór), „Te Deum" i „Ave Maria".